

Czekam na cud. Jan Darowski (1926-2008).



W drukarni Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie, od lewej: ksiądz Jerzy Sikora, Czesław Bednarczyk i Jan Darowski, fot.

Florian Śmieja

Jan Darowski był jednym z najciekawszych młodych polskich poetów londyńskich w połowie ubiegłego wieku. W późnych latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych brał istotny udział w kształtowaniu i uświetnianiu pism młodych: "Merkuriusza", a później "Kontynentów". Jako oryginalny poeta i wnikliwy krytyk wnosił świeże, odkrywcze spojrzenie, niebanalną myśl, wiele serca oraz gruntowną znajomość warsztatu drukarskiego.

Kiedy Czesław Miłosz cytował w "Tygodniku Powszechnym" jego wiersz *Post mortem*, komentował:

Żaden tak gorzki i okrutny wiersz nie został napisany w Polsce

i dodał:

czytelnicy krajowi nie znają ani nazwiska Jana Darowskiego, ani wielu nazwisk poetów piszących poza krajem.

Darowski był także znakomitym tłumaczem. Może Miłosz

przypomniawszy sobie w roku 2003, jak świetnie kilkadziesiąt lat wcześniej przełożył jego wiersze na język angielski? Zauważył to dawno temu Aleksander Janta, który w liście do wydawcy kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy”, Czesława Bednarczyka, napisał:

Gratuluję numeru. Darowskiemu zwłaszcza Miłoszowskiej wkładki. Czesław (sądzę, że miał na myśli Miłosza - FS) powinien się puszyć. Bardzo dobre wiersze: poeta w poetę.

Za najlepszego tłumacza na język angielski uważał Darowskiego także Kazimierz Wierzyński.

Do przekładania Darowski podchodził niezwykle sumiennie i poważnie. Kiedyś tłumacząc jeden z moich tekstów skarżył się na kłopoty z nim.

Intencja tego wiersza jest dla mnie wciąż niejasna, a póki tego się nie wie, albo nie zgadnie, to nie ma co marzyć o śmiałym, rzetelnym przekładzie tj. w sensie prawdy ducha, a nie litery.

Twierdził też, że:

...tłumacz musi wiedzieć dużo, dużo więcej niż autor, który często nie zna (nie musi znać) źródeł swych inspiracji i dróg, którymi doszedł do wyrazu. Tłumacz musi je znać, tj. wytropić lub trafnie odgadnąć.

Jan Darowski urodził się w 1926 roku w Brzeziu koło Raciborza na Górnym Śląsku. W Anglii pracował jako drukarz, a później jako kontroler w fabryce broni. Związany z grupą młodych poetów publikował wiersze i prozę w miesięcznikach "Merkuriusz Polski", "Kontynenty", w kwartalniku "Oficyna Poetów i Malarzy" oraz paryskiej "Kulturze". Opublikował dwa zbiory poezji *Drzewo sprzeczki* (Londyn 1969) oraz *Niespodziewane żywoty* (Londyn 1990). Nagrodzony został na konkursie im. Tadeusza Sułkowskiego w 1968 roku.

Mało zabiegając o druk i nie wysuwając siebie stoicko akceptował dołę i niedolę pisania na emigracji w niedopolszczonym, odciętym od pnia języku. Nie miał złudzeń co do wagi literatury we współczesnym świecie, któremu poeta nie potrafił oferować zdobyczy równych osiągnięciom elektroniki, astrofizyki czy medycyny.

Niekiedy próbowałem podrzucić mu interesujące artykuły i książki. Dziękował mi, ale odkładał je na później. Odmawiał doraźnego czytania. Lękał się interferencji. Bał się, że każda

książka zostawia ślad. Chciał pisać tylko z autopsji.

Jednym z tematów poruszanych przez młodych Polaków, przebywających na emigracji w Londynie wobec panującego w Polsce komunizmu, było przyjęcie języka angielskiego za język swojej twórczości. Zastanawiali się nad zrezygnowaniem z polskiego. Dobrze opanowanie języka angielskiego oraz przykład starszych kolegów, jak Jerzy Pietrkiewicz, kazały marzyć o możliwościach bardziej ambitnych, o dwujęzyczności.

Darowski wtedy napisał artykuł "Nieobecność i kara". Kazał w nim odrzucić wszelkie takie mrzonki. Wołał:

W jakim społeczeństwie jesteśmy dostatecznie obecni, aby móc być jego nie tyle prawdomównymi, co autentycznymi świadkami. Do Polski należymy przez język i z konieczności przeżywamy jej sytuację historyczną jako serię abstrakcyjnych pojęć, jako sytuację zasadniczo językową. Nasze obcowanie ze społeczeństwem brytyjskim jest „obcowaniem” głównie w tym sensie, że jesteśmy sobie wzajemnie obcy. Mówimy dobrze po angielsku, co nie znaczy, że oni nas są w stanie zrozumieć i odwrotnie.

I dodał dobitnie:

Aby działać w społeczeństwie brytyjskim, trzeba nam było pożegnać się z polskim podwórkiem, zatkać uszy na jego gwar, tłumić w sobie celowo i systematycznie wszystkie atawizmy z niego pochodzące, przynajmniej do czasu zapuszczenia korzeni w nowym społeczeństwie. Albo trzeba było wrócić do Polski... Bez wspólnego języka z Anglią i bez wspólnej treści z Polską - żegnaj nasza prozo.

Darowski był jednym z najciekawszych młodych poetów londyńskich, którzy w połowie ubiegłego wieku pojawili się na horyzoncie emigracyjnym. W pierwszym tomiku głosił:

Klucz też ma swoje chóry

jeśli go wrzucić w dość głęboką studnię

i o nim zapomnieć

śpiewa wtedy zatopione pieśni Atlantis

i piękny jest

i jego żurawie wracają

Tak jak wielu emigrantów wojennych nie pojmował rosnącego pędu Polaków do opuszczania Polski. Dziwiły go ich pretensje do kraju i narodu. Emigracja żołnierska nie opuściła ojczyzny z powodu koniunktury i pustych sklepów w Polsce. Biedowała i tęskniła, czuła rozłąkę, chciała wrócić, a nie do pomyslenia było gremialne pragnienie, by stać się cudzoziemcem.

Jako jeden z niewielu nie odwiedził po wojnie swoich rodzinnych stron. Najpierw na przeszkodzie stały różne sprawy osobiste, potem przeszkadzały problemy zdrowotne. Kiedy się z nimi uporał, zaczął starać się o polski paszport, by w 1993 r. wybrać się do Brzezia. Plany te udaremnił ciężki udar i inne poważne dolegliwości, kazały mu pożegnać się z myślą o wizycie. Odwiedziny siostry odnotował nieco szorstko jako koniec tęsknoty do przeszłości.

I tak jej nie ma, prócz w mojej głowie, gdzie lepiej żeby została. Tam może jeszcze coś twórczego z niej wyniknąć. Nie ma sensu konfrontować przeszłości z terażniejszością. Terażniejszość niewiele na tym zyskuje, a przeszłość wszystko traci. To wszystko, co jest w niej dynamiczne, zapładniające wyobraźnię.

Spytałem go, czy nie tęskni do swojej małej ojczyzny, do Górnego Śląska, czy nie inspiruje jego wierszy. Odpowiedział, że z myślą o swoich stronach pisze, ale nie wedle kanonów pisania wierszy regionalnych.

Może kiedyś, gdy zupełnie przeminie tamten kopalniano-hutniczy świat i stanie się legendą.

I wskazał na wiersz *Powroty*.

Kto to są ci, którzy „o’Eos różanopalcej” nie słyszeli nigdy. Jeśli nie widzisz tu „prostych ludzi”, hut, kopalń, trudów i śmiertelnych niebezpieczeństw w codziennym życiu, tej starości na działce podmiejskiej czy w wiejskim ogródku, tych niespełnionych marzeń i przegranych lat, to co możesz tam widzieć? Ja myślałem o naszych ludziach, którzy szli do kopalń i fabryk polnymi drogami, latem czy zimą, pieszo, po kilkanaście kilometrów, o ciężkich szychtach, sześć dni w tygodniu między Scyllą chłodu i Charybdą głodu sześć dni w tygodniu, „Ściągnami przywiązani do swych kręgosłupów”, ich dzieci w uszach miały wosk przeciwko wszystkim zewnętrznym pokusom i nawet szeptom wewnętrznym, by nie tracić odwagi, nie poddać się, do końca trzymać się trudnej, życiowej drogi, ginąć w walących się sztolniach, a

gdzie indziej od wylewających się hutniczych pieców strumieni żelaza. Bo takie było już u nas życie... Wziąłem odważnego i cierpliwego Odyseusza na katalizatora tych uczuć i epicki język Homera sam się w to wsunął. Bo w jakim języku miało to być wyrażone?

Ale dla mnie życie naszych ludzi było bardzo (bo bezwiednie) heroiczne: język, który się temu narzucił zupełnie mi odpowiada. Nie czuję w nich fałszu ani nawet przeciągania. Dlaczego nasz wschodni hreczkosiej może zasługiwać na epicki język, ale nasz górnik nie? Nie wszystko w Homerze jest o bogach i herosach. Pulsują też życiem w jego heksametrach zwyczajni ludzie: służba, rybacy, rolnicy. I nie są mniejsi dla mnie niż ci szlachetni tam zabijacy.

Darowski pamięta swojego polonistę ze szkoły powszechnej, który otworzył jego głowę na świat twórczego słowa. Jemu i matce, o której powie, że była bardzo religijną kobietą, tylko szkołę podstawową ukończyła, ale nie spotkał w życiu ani mądrzejszej, ani bardziej kulturalnej. Im najwięcej z wszystkich ludzi duchowo zawdzięczał. Oświadczył również:

Wiersze brzesko-górnośląskie i prozę pisywałem, pisuję i będę pisywał zawsze, bo ten świat jest moim kamieniem probierczym wartości wszystkiego w życiu, szczególnie w

polskim.

Złe zdrowie z czasem zaczęło ograniczać wiele jego aktywności. Także naszą korespondencję. W ostatnim liście napisał:

Otóż jakiejś nocy wpadłem do jakiegoś głębokiego dołu i leżę na dnie. Gdzieś wysoko nade mną dzieje się życie i nawet słyszę czasem moje imię. Ale cóż z tego. Trzymam się za pokaleczony łeb i słucham nieustannego w nim szumu, od którego nie ma nigdzie ucieczki. I czekam na cud.

Tego cudu wszyscy mu życzyliśmy przez dziesięć lat. I on też miał nadzieję.